

Filip Musiał

"Przewodnik po cywilnych służbach specjalnych od UB do ABW", Rafał Pieja, Mikołów 2011 : [recenzja]

Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944-1989 nr 1(10), 525-532

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Rafał Pieja, *Przewodnik po cywilnych służbach specjalnych od UB do ABW*, Mikołów 2011

Recenzowana praca jest publikacją popularyzatorską (choć opatrzoną przypisaniami). Wyszła spod pióra politologa najmłodszego pokolenia – absolwenta politologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktoranta Uniwersytetu Rzeszowskiego. Na okładce zacytowano opinię prof. Włodzimierza Bonusiaka, dyrektora Instytutu Historii UR, który stwierdza: „opracowanie [...] stanowi udaną i wartościową próbę przedstawienia dziejów polskich służb cywilnych po 1989 r. oraz popularyzację tematyki, która dotąd nie doczekała się w pełni opracowania naukowego”. Po lekturze książki ze stanowiskiem tym nie sposób się zgodzić.

Rafał Pieja popełnił błędy na każdym poziomie pisania pracy: od zgodności tytułu z treścią, przez konstrukcję, dobór materiału, warstwę faktograficzną i interpretacyjną, aż po stylistykę i gramatykę. Książka sprawia wrażenie pracy magisterskiej (bądź jej fragmentu), którą bez prób adaptowania do potrzeb publikacji wypuszczono na rynek wydawniczy.

Na poziomie konstrukcji zawiodło wiele elementów. Przede wszystkim kolejne rozdziały do siebie nie przystają: w przypadku służb Polski „ludowej” Autor uznał za stosowne omówienie rysu historycznego (rozdział 1, s. 9–36), zaś w odniesieniu do służb III Rzeczypospolitej – podstaw prawnych ich funkcjonowania (rozdział 2, s. 37–63) oraz metod i działalności (rozdział 3, s. 64–115). Kuriozalny jest rozdział 4 poświęcony wywiadowi cywilnemu III Rzeczypospolitej, który zajmuje... pół strony (s. 116). Publikacja jest zatem nie tyle przemyślaną konstrukcją, czyli wartościowym przewodnikiem dla osób pragnących zdobyć podstawową wiedzę o tajnych służbach PRL i III RP, ale zlepkiem odrębnych artykułów, których treść determinuje dostępna Autorowi literatura.

Choć Rafał Pieja podkreśla, że pragnie skupić się na działalności służb po 1989 r. (co samo w sobie jest problematyczne, gdyż cezurą powinien być nie rok 1989, ale 1990 – czyli data likwidacji Służby Bezpieczeństwa i powstania Urzędu Ochrony Państwa), zaś na „aspekty historyczne” zwraca uwagę tylko „w celu udowodnienia różnic i ewolucji systemu służb bezpieczeństwa na przestrzeni lat” (s. 7), to jednak należało przyjąć jednolite spojrzenie na opisywane zagadnienia: historyczne lub problemowe. Jeśli natomiast rzeczywiście pragnął się zająć przede wszystkim służbami III RP, to trzeba było inaczej zatytułować tomik – bowiem tytuł *Przewodnik po cywilnych służbach specjalnych od UB do ABW* jednoznacznie wskazuje, że służby PRL powinny stanowić nie tło historyczne, ale równoważny ABW przedmiot opisu.

Kolejnym błędem jest brak zdefiniowania w pracy pojęcia służb specjalnych, co sprawia, że nie wiadomo dlaczego np. Centralne Biuro Antykorupcyjne uważa Autora za „quasi-służbę specjalną” (s. 77) i tej struktury nie omawia. Konsekwencje braku precyzyjnych definicji opisywanego przedmiotu uwidaczniają się też przy dywagacjach dotyczących tego, co było uznawane za Służbę Bezpieczeństwa u schyłku lat osiemdziesiątych, a co nie.

Biorąc jednak pod uwagę popularyzatorski zamysł, niedoskonałości konstrukcyjne można by uznać za mniej istotne, gdyby nie – i drobne, i poważne – błędy faktograficzne, a także rozmaite osobliwości interpretacyjne. Część z nich wynika, jak można sądzić, z niedostatecznego opanowania tła historycznego. Dowodem na to jest choćby utożsamianie przez Autora Rządu Tymczasowego z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej, gdy twierdzi, że TRJN został powołany „1 stycznia 1945 r. w porozumieniu PKWN i PSL” (s. 13, przyp. 17) – nie ma więc moskiewskich pertraktacji, tzw. procesu szesnastu, a konspiracyjne SL „Roch” staje się jawnie działającym PSL, jeszcze w Polsce „lubelskiej”... Nie najlepsza podbudowa historyczna sprawia, że Autor – jak można sądzić z tez stawianych w książce – mimowolnie przyjmuje narrację historyków reżimowych, stwierdzając, że „najszybciej WUBP i PUBP powstały na ziemiach najwcześniej odzyskanych, czyli Rzeszów, Lublin i Białystok” (s. 14). Rafał Pieja z pewnością nie darzy sentymentem *ancien régime*’u, jednak takie ujęcie sprawia, że trzeba pytać, co to znaczy „najwcześniej odzyskanych”? Przez kogo i od kogo? Od Sowieców czy spod niemieckiej okupacji? Jak zatem odnieść się do losów polskich Kresów Wschodnich? Czy należy pominąć ten wątek?

Autor zresztą częściej przyjmuje spojrzenie charakterystyczne raczej dla historyków reżimowych, np. wtedy, gdy omawiając sprawę Józefa Światły i pisząc o bezprawnych działaniach Urzędu Bezpieczeństwa, wymienia jedynie śledztwa realizowane w ramach czystki wewnątrzpartyjnej (s. 18–19). Język właściwy dla narracji reżimowej jest też widoczny, gdy mowa chociażby o „wydarzeniach poznańskich” (s. 21) lub o tym, że Departament III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (a później Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego) nakierowany był na zwalczanie działalności „antypaństwowej” czy przeciwdziałal „terrorowi politycznemu” (s. 24). W tym ostatnim przypadku Autor zapożyczył zapewne język źródeł, ale należało to albo zaznaczyć, albo inaczej ująć stylistycznie.

Niepodobna też zgodzić się ze stwierdzeniem, że Ukraińska Powstańcza Armia była formacją „działającą głównie w rejonach Bieszczadów” (s. 15, przyp. 26). Nawet jeśli założymy, że intencją Autora było odniesienie się do aktywności zbrojnego nacjonalistycznego podziemia ukraińskiego na terenie Polski pojałtańskiej, to teza ta nie jest prawdziwa w związku z dużą aktywnością UPA chociażby między Przemyślem a Zamościem. Biorąc jednak pod uwagę, że stwierdzenie to ma tłumaczyć Czytelnikowi, czym w ogóle była UPA, tym trudniej je zaakceptować. Skoro bowiem UPA działała głównie w Bieszczadach, to kto dokonywał rzezi Polaków na Wołyniu?

Nie jest wreszcie prawdą, że „uchwała sejmowa autorstwa Jana Korwina-Mikke [powinno być: Janusza Korwin-Mikkego – F.M.] upoważniała ministra A. Macierewicza, do odtajnienia 64 akt UOP dotyczących agentury, głównie posłów, senatorów, jak i osób z kręgu Prezydenta” (s. 100). Janusz Korwin-Mikke proponował „przyjęcie projektu uchwały zobowiązującego ministra spraw wewnętrznych do podania pełnej informacji na temat urzędników od szczebla wojewody wzwyż, a także senatorów, posłów, sędziów i adwokatów będących współpracownikami Służby Bezpieczeństwa w latach 1945–1992”. Nie mógł domagać się „odtajnienia 64 akt UOP”, bo nie wiadomo wówczas, jaka jest skala problemu w parlamencie oraz Kancelarii Prezydenta RP (a nie w „kręgu Prezydenta”). Listę 64 osób zarejestrowanych jako różnej kategorii osobowe źródła informacji ustalił dopiero zespół działający w MSW pod przewodnictwem Piotra Woyciechowskiego. Nie ma też mowy o odtajnieniu 64 akt, gdyż w większości wypadków dokumentacja aktowa się nie zachowała, a informacje o rejestracji pochodziły z zasobu ewidencyjnego UOP. Możemy więc mówić o zdjęciu klauzuli tajności z archiwalnej dokumentacji SB dotyczącej 64 osób. Do drobniejszych potknięć można zaliczyć omyłkę w datowaniu zawarcia porozumień w Jastrzębiu na październik, a nie wrzesień 1980 r. (s. 33).

Tło historyczne to jedna kwestia. Poważniejsze problemy wiążą się jednak z głównym tematem książki, bo i w tytułowej problematyce Autor nie czuje się zbyt pewnie. Mija się np. z prawdą, gdy pisze, że „w wydziale kontrwywiadu istniała również sekcja kartotek, czyli tzw. teczek” (s. 13). Kartoteki były bowiem elementem ewidencji operacyjnej, natomiast tzw. teczki to po prostu formy spraw operacyjnych (mówiąc językiem dzisiejszych służb – procedur operacyjnych). Podobnie nieścisłe jest stwierdzenie, że po utworzeniu MBP „całość kierownicza [cokolwiek miałyby to znaczyć – F.M.] oraz funkcjonariusze przeszli do nowo utworzonej służby” (s. 13). Przekształcenie Resortu BP w MBP polegało przecież jedynie na zmianie nazwy na poziomie centralnym – żadna „nowa służba” w tym czasie nie powstała. Nie jest też prawdą, że Departament Śledczy został utworzony „w 1947 r. Początkowo jako Wydział do Spraw Funkcjonariuszy” (s. 17). Autor połączył tu dwie struktury o odmiennych kompetencjach i przeoczył istnienie pionu śledczego od 1944 r. Nie sposób zgodzić się ze stwierdzeniem, że „do końca 1954 r. w terenowych jednostkach безпеки można było znaleźć zakamuflowanych funkcjonariuszy NKWD i NKGB” (s. 19). „Sowiecnicy” nie kamuflowali się – byli oficjalnymi „doradcami” (początkowo nazywano ich instruktorami) przy szefach terenowych urzędów. Choć prawdą jest, że najważniejsze decyzje związane z funkcjonowaniem UB podejmowano w konsultacji z BP KC PPR/PZPR (s. 19), to trzeba było też zwrócić uwagę na rolę komitetów wojewódzkich i powiatowych PPR/PZPR. Omawiając kadry UB, należało natomiast podkreślić – poza wskazaniem, że rekrutowały się z dotychczasowych nizin społecznych (s. 20) – iż na poziomie MBP, a także większych WUBP, decydujące znaczenie mieli jednak funkcjonariusze dość dobrze wykształceni. Autor mylił się też, stwierdzając, że

istnienie np. Centralnej Drukarni MBP czy Centralnej Składnicy Sanitarnej Szefostwa Służby Zdrowia „świadczyło [...] o braku jakiegokolwiek kontroli nad tym, co dzieje się w resorcie” (s. 20). Przeciwnie – jest to dowód na rozbudowanie struktur aparatu bezpieczeństwa, który starał się być jednostką w pełni autonomiczną i niezależną od instytucji zewnętrznych, co miało służyć właśnie pełnej kontroli nad tym, co dzieje się w szeregach UB, i konspiracji jej działań. Kolejne afery z udziałem funkcjonariuszy SB (np. „Zalew” czy „Żelazo”) nie są dowodem na brak partyjnej kontroli nad bezpieczeństwem (s. 25), ponieważ – o czym Autor nie pisze – z przestępczej działalności esbeków korzystali także wybrani dygnitarze PRL. Podstawowym mechanizmem kontrolnym była preselekcja kadr, a następnie nomenklaturowy system awansów – tych informacji jednak w książce Rafała Piei nie znajdziemy.

Gdy Autor twierdzi, że „Gierek, w celu utrzymania sztywnego kursu i realizowania doktryny L. Breżniewa pozwalał na inwigilację Polski przez KGB” (s. 27), to ma rację. Prowokuje jednak do pytania, dlaczego tego samego nie napisał o pozostałych pierwszych sekretarzach? Czyżby uznawał, że Bierut, Gomułka, Kania, Jaruzelski czy Rakowski zalecali, by UB-SB prowadziły działania kontrwywiadowcze ukierunkowane na sowieckie służby? A co z „sowienikami” w UB i rezydenturą KGB w Warszawie, mającą wpływ na decyzje (przynajmniej niektóre) kolejnych ministrów spraw wewnętrznych i szefów SB? Co z funkcjonariuszami służb cywilnych (wysyłanymi na kursy KGB) i wojskowych (doskonalącymi się na kursach GRU) oraz budowaną wśród nich sowiecką siecią agenturalną?

Nie bardzo wiadomo, jaką różnicę dostrzegł Autor pomiędzy pozycją zastępców komendantów wojewódzkich ds. SB i zastępców szefów WUSW ds. SB, niemniej twierdzi, że ci drudzy posiadali już „w otwarty sposób głos przewodni” w strukturach, w których służyli (s. 28). Tymczasem tzw. reforma Kiszczaka nie zmieniła pozycji wojewódzkich szefów SB, która i przed nią była silna, a kontrola komendantów wojewódzkich MO nad pionem SB pozostawała iluzoryczna. Podkreślić jednocześnie należy, że osoba kierująca bezpieczeństwem w województwie sprawowała funkcję zastępcy szefa WUSW ds. SB, a nie „szefa WUSW ds. bezpieczeństwa/SB” (s. 30).

Trudno dociec, na jakiej podstawie Autor stwierdza, że „dezercje w SB zdarzały się często, mimo ustawowej przysięgi, jaką składali funkcjonariusze na wierność PZPR” (s. 35). Informacja o przysiędze na wierność PZPR jest niezmiernie intrygująca, gdyż znane z akt osobowych ślubowania esbeków zawierały odwołania do wierności PRL, a nie PZPR. Autor nie ma też racji, gdy twierdzi, że mianem Służby Bezpieczeństwa do 1989 r. określano „jedynie policję polityczną, natomiast poza SB pozostawały cywilny wywiad i kontrwywiad” (s. 31). Było na odwrót – piony tzw. wywiadu i kontrwywiadu SB były integralnym komponentem SB aż do schyłkowego PRL, kiedy to, widząc nieuchronność zmian, starano się zrobić wszystko, by na poziomie propagandowym i leksykalnym wyłączyć Departamenty I i II ze struktury SB. Zarazem departamenty wywiadu i kontrwywiadu SB nie zostały włączone do UOP

(s. 31), ale faktycznie je rozwiązano i sformowano nowe struktury – istotnie bazujące na kadrach esbeckich, nie można jednak tego procesu uznać za przejście przez UOP struktur SB. Kuriozalne jest też stwierdzenie, że po odwołaniu Czesława Kiszczaka i powierzeniu kierowania UOP Andrzejowi Milczanowskiemu „nastąpiły znaczne zmiany personalne i likwidacja Departamentu III (do walki z opozycją) oraz IV (do walki z religiami)” (s. 68). UOP nie miał w strukturze takich pionów, zaś SB zlikwidowała je jesienią 1989 r. – o czym zresztą Autor wcześniej pisze (s. 31).

Opisując zmiany w tajnych służbach, będące konsekwencją wydarzeń z lat 1989–1991, Autor podkreśla, że „otwarcie granic na Zachód” spowodowało m.in. „większą możliwość penetracji kraju przez obce wywiady” (s. 39). To prawda – należało jednak dla uzupełnienia obrazu odnotować, jakie znaczenie miały te zmiany w kontekście kilkudziesięcioletniej nieskrępowanej infiltracji Polski „ludowej” przez wschodniego sąsiada.

W części dotyczącej UOP i ABW wyraźnie widać, jak czytana literatura narzuca badaczowi spojrzenie. Dowiemy się zatem, że Andrzej Zybortowicz sympatyzuje z Jarosławem Kaczyńskim (s. 67), jednak o sympatiach np. Jana Widackiego już nie przeczytamy. Polemika związana z opisem działalności UOP wymagałaby zbyt dużo miejsca. Interpretacja wydarzeń z nocy 4 na 5 czerwca 1992 r. (w której Autor – podobnie jak wielu innych – wzdraga się przed podkreśleniem, że wśród debatujących nad obaleniem rządu Jana Olszewskiego były osoby rejestrowane jako OZI SB) i poprzedzających ją działań związanych z realizacją uchwały sejmowej dotyczącej osób publicznych rejestrowanych jako OZI, tzw. afery „Olina” czy inwigilacji prawicy jest sztampowa. Wynika to, jak można sądzić, z dość jednostronnej bazy źródłowej, niepozwalającej Autorowi na bardziej krytyczne spojrzenie na opisywane wydarzenia czy rolę, jaką odgrywały w nich poszczególne osoby. Ze względu na miejsce publikowania niniejszej recenzji zastrzeżenia te można pominąć, niniejszy periodyk koncentruje się bowiem na dziejach komunistycznego aparatu represji, nie zaś historii służb specjalnych III RP.

Z kronikarskiego obowiązku należy odnotować niektóre potknięcia w części książki, którą Autor uznaje za podstawową, a która dla badaczy dziejów komunistycznego aparatu represji może mieć nieco mniejsze znaczenie.

Problemem jest pewna niekonsekwencja w spojrzeniu na omawiane zagadnienie, szczególnie wyraźna, gdy czytamy o ciągłym upolitycznianiu UOP, a później ABW; każda zmiana na stanowisku kierowniczym – jak przekonuje Autor – wiąże się z upolitycznieniem służby – co musiałoby znaczyć, że wcześniej nie była ona upolityczniona. Tymczasem problem ten należało ująć w formę tezy ogólnej – służby te nigdy nie były odpolitycznione. Nie mamy więc do czynienia z falami upolitycznienia UOP-ABW, ale po prostu ze stanem ich stałego podporządkowania interesom świata polityki (falami co najwyżej wymieniano kadry). Autor to zauważa, jednak nie w głównej części książki, ale dopiero w zakończeniu (s. 117). Tymczasem jednym z grzechów

pierwotnych III RP jest to, że nie zmieniono peerelowskiego mechanizmu traktowania instytucji państwowych jako niemal własności partyjnej. W realiach III RP aparat państwowy i administracyjny – w tym służby – staje się *de facto* zdobyczą zwycięskiej partii czy raczej koalicji tworzącej rząd.

Przechodząc do drobniejszych potknięć, trudno poważnie traktować stwierdzenia Autora, że pod kierownictwem Krzysztofa Bondaryka ABW odnosi sukcesy, jeśli dowodem tej tezy ma być anonimowa wypowiedź funkcjonariusza, który zapytany o porównanie obecnego szefa do poprzedniego, odpowiada: „Jest o wiele lepiej, bardzo przyjemnie się pracuje” (s. 83). Logika zawodzi też Autora, gdy – rozwijając dygresję – podkreśla, że politycy najczęściej wykorzystują do niejawnego rejestrowania swych rozmówców dyktafony „nagrywające dźwięk w formacie WMA i MP3”, i dodaje: „Dobitnym przykładem jest zarejestrowanie przez posłankę Renatę Beger propozycji korupcyjnej złożonej przez dwóch posłów PiS (A. Lipiński i W. Mojzesowicz). Sprawie nadano prasowy tytuł »Taśmy Renaty Beger«, nie zastanawiając się, że dyktafony kasetowe wyszły z użycia i nie są już stosowane” (s. 92). Osobom niepamiętającym tej sprawy proponuję odszukanie nagrań w Internecie, co pozwoli stwierdzić, że tzw. taśmy Renaty Beger były nagrane kamerą, prócz dźwięku dysponujemy przecież w tym przypadku także obrazem, a tytuł odnosił się do taśmy filmowej (choć – argumentowałby pewnie Rafał Pieja – posłanka Beger dokonała zapisu cyfrowego...).

Najwięcej błędów znalazło się chyba we fragmencie zatytułowanym *Techniki prowadzenia operacji* (s. 90–97), który miał ukazywać metodologię działania UOP, a później ABW. Autor nie rozróżnia jednak metod od form działania, nie potrafi składować zdefiniować środków pracy operacyjnej – ani osobowych (których kilka, chyba losowo wybranych, przytoczył za *Leksykonem służb specjalnych świata* autorstwa byłego funkcjonariusza Departamentu I SB Jana Lareckiego), ani rzeczowych. Nie potrafi zdefiniować techniki operacyjnej, uznając za nią m.in. zakup kontrolowany oraz przesyłkę niejawnie nadzorowaną (s. 95–96)... Słowem, kwintesencja działania tajnych służb, a więc praca operacyjna, jest mu obca. Podawane informacje są nieusystematyzowane i dowodzą powierzchownej wiedzy Autora, który pisze np.: „Może zatem dziwić nas sytuacja, gdy dokonano przestępstwa włamania, podczas którego nic nie zginęło, jak również nie pozostawiono żadnych zniszczeń materialnych” (s. 93) – co ma być egzemplifikacją „włamania do lokalu”, dokonanego przez policję lub tajne służby, po to, by „podczas spreparowanej akcji umieścić podsłuch” (s. 93). Pomijając kwestie stylistyczne, podkreślić należy, że Autor nie „czuje” świata tajnych służb. Nie wie, co to jest tzw. tajne wejście, nie rozumie także, że instalacji aparatury podsłuchowej czy podglądowej dokonuje się tak, by nie pozostawiać żadnych śladów działania, nie ma więc mowy o „włamaniu, podczas którego nic nie zginęło”. Nie wie, że każdy ślad działania – taki jak „włamanie” – jest klęską służb i *de facto* zdradzeniem przez nie swych zainteresowań operacyjnych. Dziwić musi także stwierdzenie, że „agenci swą najważniejszą rolę odgrywają w czasach konfliktów i wojen, rządziej

w czasach pokoju” (s. 95), w sytuacji, gdy przedmiotem książki są służby cywilne, dla których naturalnym środowiskiem działania są „czasy pokoju”.

Dydaktyczna życzeniowość Autora uwidoczniła w nadziejach zawartych w zakończeniu książki nieco zaskakuje, np. gdy twierdzi, że „drogą prawną poprzez wprowadzenie widocznej separacji zadań i kompetencji” niwelowany jest problem ząbienia się obszarów zainteresowań poszczególnych służb (s. 118) – zwłaszcza zaś ABW oraz CBA (tym razem chyba już nie traktowanego jako „quasi-służba specjalna”?). Problemem mają pozostawać – zdaniem Autora – jedynie „demagogiczne zachowania polityków”, niweczące ten proces. Co do szkodliwości klasy politycznej – należy się z Autorem zgodzić. Trudno jednak odgadnąć, jaki proces legislacyjny ma na myśli, gdyż w ostatnich latach nie uczyniono niczego, by w sposób sensowny wyznaczyć zakres kompetencji i nakreślić zasady współpracy między poszczególnymi służbami.

Praca obfituje także w błędy warsztatowe. Jednym z nich jest niekonsekwentne podawanie w przypisach informacji o pojawiających się w tekście głównym osobach. Niektóre postacie opatrzone są krótkimi notkami z podstawowymi danymi biograficznymi, inne nie. Próżno szukać klucza, według którego podejmowano decyzję o zamieszczeniu bądź pominięciu tych informacji. Czy np. Mikołaj Orechwa odgrywał w RBP i MBP rolę istotniejszą od Leona Andrzejewskiego i dlatego jednozdaniowa informacja o nim znalazła się w książce, zaś Andrzejewski pozostał anonimowy (s. 12)? Czy był jednocześnie na tyle prominentny, że poświęcono mu zdanie, zaś przy Romanie Romkowskim wyjaśniono jedynie w przypisie, że przed zmianą nazwiska nazywał się Menasze Grinszpan (s. 14)? Czy nie należało jednak pokusić się o notki dotyczące tak istotnych dla funkcjonowania służb specjalnych III RP osób, jak np. Jacek Cichocki czy Bogdan Świączkowski? O pierwszym nie dowiadujemy się niczego (s. 82), zaś o drugim jedynie tyle, że ze względu na wzrost i tuszę nazywano go w ABW „Godzillą”... (s. 81, przyp. 287).

Notki z informacjami biograficznymi zamieszcza się po to, by przekazać czytelnikowi dane o występującej w tekście osobie – ważne z punktu widzenia opisywanej problematyki. Większość notek sprawia natomiast wrażenie dość przypadkowo dobranych. Biorąc za przykład Jana Widackiego, należało w dotyczącym go przypisie (s. 68, przyp. 222) uwzględnić dane o jego aktywności w Centralnej Komisji Weryfikacyjnej – nawet jeśli byłyby powtórzeniem tego, co napisano kilka stron wcześniej w tekście zasadniczym, a także o tym, że w PRL prowadził wykłady dla funkcjonariuszy SB.

Co najmniej osobliwe – nawet w publikacji popularnonaukowej – jest traktowanie jako źródła wiedzy historycznej filmów fabularnych *Operacja Samum*, *Psy* czy *Mechaniczna pomarańcza*, a także jednego z odcinków serialu sensacyjnego *Z archiwum X*. Podobnie egzotycznie wygląda wymieniona w bibliografii piosenka zespołu Kult *Panie Waldku, pan się nie boi, czyli lewy czerwcowy* (zob. np. s. 69, 96, 127–128).

Jako „humor z zeszytów” można potraktować szereg passusów, jak choćby stwierdzenie, że MBP, a później KdsBP, dbając o rozwój kadr, zapewniały swym

funkcjonariuszom wypoczynek, „co przy tak stresogennej pracy jak bezpieczeństwa było wręcz wskazane” (s. 20), czy zdanie, że „nowa nazyfikacja pojawiła się w 1967 r. i od tego momentu rozpoczęto używanie nazwy zastępców komendantów ds. SB” (s. 26), albo „Służba Bezpieczeństwa nie miała w realny sposób wyodrębnionych zadań, stąd łamanie prawa przez bezpieczeńkę było czymś nagminnym” (s. 38–39), zaś nowelizacja ustawy o UOP zastrzegła jego funkcjonariuszom prawo do... „niezrzeczania się” (s. 41). Za humoreskę uznać także należy stwierdzenie, że gdy w latach siedemdziesiątych okazało się, iż „władza komunistyczna w Polsce nie miała żadnego pełnego poparcia, to fakt ten zmusił kierownictwo partyjne do całkowitego podporządkowania sobie służb bezpieczeństwa na czele ze służbami specjalnymi” (s. 32). Zatem przez poprzednie dekady „zbrojne ramię partii” działało zapewne w oderwaniu od partii... Podobną osobliwością są próby udowodniania, że na straży moralności funkcjonariuszy stał aparat PZPR i tylko dzięki jego kontroli nie doszło do większej liczby afer w rodzaju „Zalewu” czy „Żelaza” (s. 32).

Nie tylko Autora, ale także Wydawcę obciąża to, że maszynopisu nie poddano adiustacji językowej, a prawdopodobnie pominięto też korektę. Konsekwencją tego zaniechania jest fatalna stylistyka – wskazująca często na wyraźne problemy Autora z czytelnym formułowaniem myśli – naiwność niektórych tez, błędy gramatyczne czy literówki. Jest to szczególnie rażące, biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z badaczem, który – jak podkreśla w swym biogramie – rozpoczął działalność przedsiębiorczą „w dziedzinie edukacji licealno-studenckiej” (jest *project managerem*). Nietrafną decyzją jest pominięcie indeksu osobowego. Jego sporządzenie umożliwiłoby zapewne uniknięcie niektórych potknięć, jak choćby twierdzenia, że szefem pionu śledczego był F. Różański (chodzi o dyrektora Departamentu Śledczego MBP Józefa Różańskiego – F.M., s. 19), czy wspomnianej już omyłki pisarskiej, która z Janusza Korwin-Mikkego zrobiła Jana.

Na zakończenie drobna uwaga do materiału ilustracyjnego. Skandaliczne jest umieszczenie – bez komentarza – faksymiliów danych z ZSKO dotyczących Bronisława Geremka, w których odnotowano, że miał on być tajnym współpracownikiem SB (s. 29). Sprawa ta stała się już przedmiotem głośnej polemiki naukowej, w konsekwencji której jednoznacznie wykazano, że ten zapis w elektronicznej ewidencji SB wynikał z błędu funkcjonariuszy, a Geremek nie został w 1969 r. faktycznie zarejestrowany jako TW.

Wskazane słabości są jedynie wybranymi przykładami, które można by mnożyć. Niewątpliwie Autor miał dobre intencje, zawiodło jednak wykonanie. Wydaje się, że niedoskonałości książki nie są wyłączną winą doktoranta z Rzeszowa, ale obciążają także Recenzenta bądź Recenzentów oraz Wydawcę. Liczba błędów jest bowiem taka, że trudno uwierzyć, by przed wydaniem praca została poddana krytycznej lekturze.